



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 80; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

### OD WYDAWCY.

Wszyscy prenumeratorowie „Bluszczu“ otrzymują bezpłatnie

Tom I (stanowiący osobną całość) dzieła p. t.:

### Rozrywki dla młodocianego wieku.

Ktoby z szanownych prenumeratorów dotychczas nie otrzymał, raczy się o to upomnieć tam, gdzie „Bluszcz“ został zaprenumerowany.

### POGA WĘDKA.

Hulamy, i hulamy.

Zdaje się, że to najważniejszy temat do karnawałowej pogawędki; mówi się o nim, a nawet z powagą rozprawia szeroko i długo przed, podczas i po każdym balu i wieczorku.

Jakże nie mówić, kiedy kto ma nogi ku skakanii, a obcasy na zbyciu, tnie hołupca, aż iskry lecą.

Prowincya, idąc za przykładem Warszawy, rozbalowała się również, a nawet próbuje intrygować się na maskaradach i popisywać na kostymowych wieczorach, przeciw którym wypuściliśmy w ostatniej pogawędce zaostrzoną strzałkę.

Nie przypisujemy jej tej zasługi, aby trafiła do celu, ani tej złośliwości, by zepsuła rozmaitość

balu kostyumowego, urządnego zeszłej Soboty w salonach Resursy Kupieckiej, na korzyść Towarzystwa Dobroczynności; stało się wszelako tak, że dwa kostyminy tylko paradowały pomiędzy toaletami balowymi i zatłoczone galerye doznały zawodu, bo nie miały na dolę czego podziwiać.

Ciekawość spektatorek wystawioną została na zawodne pokuszenie, ale nam, na szczęście, ubyło trochę tematu do ponownych utyskiwań na rzucanie-grochu o ścianę, na zapamiętałe marnotrawstwo i t. p. jeremiady, od których już pióro się rozkwaczyło.

Trzecia maskarada jedynie nastroiła nosy na kwintę, a humor wszystkich felietonistów i reporterów na ton wielce zgryźliwy.

Od lat dwudziestu nie bywało takiego tłoku i tak wysokiej cyfry znudzonych na Salach Redutowych, jak w roku bieżącym.

Trudno! przyzwyczajenie jest drugą naturą, a natura wilka ciągnie do lasu, „przeciętnego“ zaś Warszawiaka do teatru w trzecią Niedzielę karnawału, aby zobaczyć: czy się inni bawią, bo każdy z tych ciekawych za siebie jest zgóry zrezygnowany na nudy.

Dowcip bywa dziś rzeczą rzadką poza teatrem i Salą Redutową, ale i humoru trudno się doszukać w zabawach naszych; jest coś sztywnego, apatycznego w usposobieniu tych warstw towarzyskich, które kiedyś nadawały ton uciechom i wesołostkom karnawałowym.

Nudzą się ludzie i ziewają ukradkiem w salonach, odrabiając najczęściej, jak za pańszczyznę, obowiązki towarzyskiego konwenansu.

Maskarady już stanowczo przeżyły się, a dzisiaj mają jedyną racją bytu o tyle, o ile zasilają kasę teatru dość pokazną sumką, która stanowi... podatek znudzonych.

Jest przynajmniej to jedno pocieszenie dla wszystkich naiwnych, którzy idą jeszcze szukać rozrywki, intryg, dobrej zabawy na Salach Redutowych: że swojemi rublami zmniejszają choć

w małej cząsteczce ciężący zawsze nad budżetem warszawskiej sceny niedobór.

Od czasu otwarcia Teatru Rozmaitości, który pod weale szczęśliwą gwiazdą rozpoczął nową dla siebie erę, publiczność ciśnie się do przybytku Melpomeny i okazuje niezwykłą sympatya i ożywione zajęcie dla sceny.

„Dom otwarty“ Bałuckiego, okazał się wybornym nabytkiem dla Dyrekcyi i przekonał, że nie zawsze targi ze względów oszczędnościowych z autorami oryginalnymi są potrzebne i właściwe.

Czasem ryzyko oplaca się z ogromnym procentem.

Od reżysseryi i artystów zależeć teraz będzie, aby to dobre usposobienie publiczności i tę ożywioną atrakcją jaknajdłużej utrzymać. Dobre sztuki, starannie wyuczone i dobrze zagrane w najwłaściwszej obsadzie, będą najskuteczniejszym środkiem wyleczenia kasy teatralnej z chronicznych suchot i podniesienia materialnych interesów sceny.

Jako nader korzystny objaw odnowienia wraz z atmosferą i urządzeniem wewnętrznem Teatru Rozmaitości i obyczajów „sfer wyższych“, naszego teatru, zanotować nam należy przyzwoitsze zachowanie się galeryi i paradyżu; rozsądniejsze szafowanie okłasków i uciechnięcie krzykliwych entuzjastów, którzy na widok protegowanych ulubieńców na scenie, dochodzili już w ostatnich czasach do konwulsyjnych objawów zachwyty — podejrzaney natury.

Artyści, Bogu dzięki, usłuchali również perswazyi poważniejszej krytyki i na wzór zagranicznych kolegów, szanujących swą godność i powołanie, jako też zadanie sztuki, postanowili nie wychodzić z ukłonem na każde zawołanie życzliwej pary rąk i w czasie aktu nie przerywać wrażenia widzów obowiązującą rewerencyą z poza kulis.

Dobry ten przykład oddawna już uświęcony został w wiedeńskim Burgu, a ostatnio wzorowo



urządzona trupa niemieckich artystów, grających w Berlinie pod firmą „Deutsches Theater“, posunęła swą abnegacją artystycznych słabostek tak daleko, że zobowiązała się nie przyjmować ze sceny żadnych owacyj, żadnych wienców, kwiatów, bukietów, którymi u nas zanadto ostatniemi czasy, mniej zasłużonych a więcej szczęśliwych obsypywano.

Pora karnawałowa nie bywa dla sztuki przychylną; oprócz Talii, żadna inna z muz nie może p oszczycić się u nas wielkiem powodzeniem.

Euterpe, królująca w Towarzystwie Muzycznym, dyplomatycznie zawarła przymierze z Terpsychorą,—muzykę i śpiew skojarzono z tańcami i kolejno odbywać się mają wieczorki dla członków, którzy nietylko posiadają uszy ku słuchaniu, ale i nogi, czule na skoczne dźwięki Straussa i Lewandowskiego.

Ostateczności się schodzą; obok zbytku naszych pań wielkiego świata i garnących się ku niemu kandydatek na królowe szyku i mody, znajduje się coraz liczniejszy zastęp praktycznych filozofek swego rodzaju, wypowiadających walkę przesądowi, że tylko w jedwabiach i atlasach można się dobrze wytańczyć, wesoło zabawić i... podobać.

Ktoś śmielszej natury zerwał pierwszy z tym niewygodnym a kosztownym przesądem i dał początek tak zwanym „wieczorkom wełnianym“, na których panie w skromniejszych sukniach się znajdowały.

I o dziwo! podobno zwyczajna wełna cudów dokonowała, bo przy niej znaleziono złote runo, tak poszukiwane na wszystkich zebraniach towarzyskich: swobodę i humor, zaprawiający wybornie całą zabawę.

Spodziewać się należy, że ta pierwsza a pomyślna próba zachęci do naśladownictwa, ku czemu ojcowie rodzin i mężowie we własnym interesie agitować powinni.

Na wystawach obrazów przerażające pustki, malowane studia z natury zaczynają z nudów poziewać w złotych ramach; nawet kombinacja sztuki z pietyzmem nie zwabiła ciekawych do ratusza, gdzie na widok publiczny wystawiono konkursowe plany rozszerzenia kościoła Św. Alexandra na Placu Trzech Krzyży.

Rzeczoznawcy utrzymują, że i ten konkurs ulegnie zwyczajnej fatalności wszystkich konkursów naszych i pożytecznego rezultatu nie da żadnego.

Melomani czekają zapowiedzianego przybycia „dyabła ze skrzypcami“, który zapewne rozpocznie u nas sezon koncertowy; pod taką firmą, jak Sarasate, powinno się szczęście następnym koncertantom. Najwięcej tego powodzenia życzyć-by wypadało koncertowi, który urządzają wielbiciele Moniuszki na dochód pozostałej po nim wdowy i nieszczęśliwej, sparaliżowanej córki.

Kiedyś zebrano raz już znaczniejszy nawet fundusz po śmierci serdecznego pieśniarza na ten sam cel, ale dzisiaj okazała się potrzeba zabezpieczenia stałego jakiego zasiłku wdowie i sierocie; jest zatem projekt zebrania ponownie funduszu, oddania go pod opiekę osób godnych zaufania i zapewnienia p. Moniuszkowej dożywocia z procentów nienaruszalnego kapitału.

Koncert z tymczasowego programu zapowiada się świetnie, a materyalnie udać się musi, bo powinien, bo wstydzić-by się przyszło przed cieniem nieśmiertelnego twórcy „Halki“, Straszego dworu“, gdybyśmy w niegodny sposób odwdzięczyli się jego zasługom i pamięci.

I tak mamy niespłacony dług względem jego mogiły, lata całe strawiliśmy na szukaniu miejsca i znalezieniu środków dla wzniesienia mu pomnika, który pokutował zakurzony w kącie, za piecem, w alkierzu wystawy Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i gdyby nie konieczność zrobienia czegoś z tym fantem przy przeprowadzce wystawy, możeby zapomniano zupełnie o nieszczęśliwej kamiennej, co miała trzymać wieniec nad grobem muzyka, jak się u nas najczęściej zapomina o wszystkim, o czémby pamiętać z obowiązku należało...

Pisma nasze ilustrowane i codzienne przypominały nam zasługi znakomite człowieka, który w pełni sił i wieku chluba naszego społeczeństwa ma prawo się nazywać; jest nim goszczący obe-

nie w Warszawie dr. Benedykt Dybowski, słownej sławy a cichej skromności podróżnik i uczo-ny, wracający z Kamczatki po kilkuletnich tam studyach, z całym taborem zbiorów i nabytków. Zamianowany professorem historii naturalnej w Uniwersytecie Lwowskim, zamierza on udać się tam po krótkim wypoczynku i uwolnieniu ze służby rządowej, aby z młodszem pokoleniem podzielić się zdobyczami swej bogatej wiedzy i nauki.

Czcigodny gość nasz wymówił się od wszelkich owacyjnych powitań, poprzestając na serdecznym uścisku licznych swych przyjaciół, kolegów i wielbicieli w poufnych kółkach.

O działalności i zasługach Dybowskiego na polu nauki nie podobna mówić pobieżnie w kilkunastowej wzmiance; czytelnicy znajdują obszerniejszą ocenę w jednym z najbliższych numerów pisma naszego.

Z dalekich stron po dłuższej przerwie, przyszło znów echo z pozdrowieniem od młodego turysty po afrykańskich puszczech, Stefana Szolca-Rogozńskiego.

Dnia 28-go Października zeszłego roku pisał on ostatni raz z Bakundu-ba-Nambaleh; z listu jego wieje zawsze ta niezwalczona wiara w siebie i otucha, że celu dopnie.

„Zapewne to ostatni list—nadługol... Żegnajcie! Spodziewam się, iż się zobaczymy zdrowi cali“—pisze w przededniu prawie wyprawy w dalszą drogę.

Niech Bóg prowadzi i ta gwiazda, której w pierśiach dzielnego podróżnika nie zgasiły wszystkie zawody i nieszczęścia!

Z ważniejszych wypadków ostatniej chwili nie mamy wiele do zanotowania, chyba nowy projekt, który powstał z inicjatywy prezesa Kolei Nadwiślańskiej i Terespolskiej p. Stanisława Kronenberga, w gronie przodowników naszego przemysłu; projekt ten ma na celu założenie „Towarzystwa zabezpieczenia robotników od wypadków, połączonego z ubezpieczeniem na życie“.

Ustawę już zaczęto opracowywać na zasadach racjonalnych i dobro stowarzyszonych mających głównie na względzie.

To, nad czem w Niemczech ks. Bismarck pracuje od lat tyłu, na czem opiera jeden z najważniejszych punktów swojego programu politycznego w sprawie organizacji wewnętrznej państwa i rozwiązania tak ważnej kwestyi socyalnej na drodze ustawy państwowej, u nas wchodzi na porządek dzienny z inicjatywy prywatnej i dla klas pracujących zapowiada się nader pomyślnie.

Nietylko ekonomiczne, ale ważne moralne względy przemawiają gorąco za poparciem projektu, któremu jaknajrychlejszego urzeczywistnienia życzyć wypada.

Przy nadarzonej sposobności wrócimy jeszcze do tego przedmiotu, jednego z najważniejszych, jakie na dyskusyją publiczną zasługują.

## KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-CH AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

poadał

Henryk Biegeleisen.

\* **A K T I.**

((Dalszy ciąg).)

\* **SCENA III.**

\* **Chorus**

Oto, jak w dawnej Polsce, złożone wrzeczona  
W ręku niewolnic burczą na jedwabnej tęczy 1)

1) „na tę-zach jedwabi“.

W głębi siedzi królowa, purpurą czerwoną,  
Matka matek. Wkoło rój domowy brzęczy 1);  
A ona zda się wszystkim zarządza z oddali, 2)  
Jak Jowisz, pod którym się piorun święty pali.

Pod cieniem drzew oliwnych, których latające.  
Małe, srebrne listeczki źle od słońca bronią,  
Siedzi jak Izys w srebrne ubrana miesiące,  
Nad młodością, nad światem kolorów, nad wonią,  
I dziewczęta nazywa gromadą szerszeni,  
Których pełny jest wszędzie dom, i pełne sieni 3).

A jednak czujesz w sercu, że choć głosem łaje,  
Gdyby w domu ucichło to wieczne łajanie,  
Dom byłby jako zegar, który nagle staje.  
Przez niewidzialne duchy na szlacheckiej ścia-  
[nie 4)

Zatrzymany... śród wichrów wyjących i burzy  
Tak nagle, że cichością zda się piorun wróży....

**Archidamia**

Agezustrato!

**Agezustrata**

Co, matko? 5)

**Archidamia**

Powiedz Agiatis, żonie twego syna, że  
Dziś miałam o niej sen dziwny.

**Agezustrata**

Agiatis!

**Agiatis**

Jestem.

**Archidamia**

Pani Agisowa! Chodź tu bliżej!  
Ha! jak włosy twoje słycać olejkiem Achajskim!  
Zostaw te pachnidła dla drugiej królowej....

Niech się ta Satrapka, niewolnica Seleuki, olej-  
kami namaszcza, a Leonidas niech węża, jeśli  
ma węż; a wiem że ma, bo ciągle wietrzy coś  
w moim wnuku Agisie. Niegodziwiec! szczepiciel  
rozpusty! Pan Spartański! Czy ty go nienawidzisz, Agiatio?

**Agiatis**

Jak węża.

**Archidamia**

Wiem, czego on mi zazdrości Agisa, wnuka, bo  
jego Kleomenek, syn, łajdak wierutny i rozpustnik,  
sójka kolorowa, zimorodek,—w zimie urodzony,  
zimnego musi być serca. A co do rozumu,  
to wiem, że go nie ma, bo go raz przed czterema  
laty ojciec przysłał z *gubernierem*, to patrzył po  
kątach, jak złodziej, i śmiał się jak dziewczyna,  
a gdy go pokreśliła za ucho i myślałam, że ukąsi,  
to nie ukąsił, ale rozplakał się—szczeniátko dwu-  
nastoletnie.

\* **SCENA IV.**

*Wchodzi Agezylausz.*

**Agezustrata**

Matko Archidamio, Pan Agezylausz wita cię.

**Archidamia**

To ty, Agezylausz... Mówiłam tu właśnie o Kleo-

1) „Matka matek, słuchając jak rój cały brzęczy, Śpiewa, burczy“.— „Matka matek wkoło której“.

2) „zwysoka“.

3) Dwa ostatnie wiersze mocno kreślone: „I słuchająca tych dziewic, od których dom jest wietrzny“: — „od których w domu jest gwar“—„ich pracę pajęczą“.

4) „Dom byłby jako ciemne cyprysowe gaje, W których pod okiem słońca żaden świat nie wstanie“.

5) „Jestem, matko moja“.



menie, synu twojego synowca, że w rozgardjasz 1) taki wpadnie, jak ojciec i waćpan 2).

Bo i ty pełny długów... a stary—a stary... warto by się już poprawić!

**Agezylausz**

Razem ze Spartą....

**Archidamia**

Co?

**Agezylausz**

Razem ze Spartą....

**Archidamia**

Co? Jestem głucha.

**Agezylausz**

Powiadam Wać pani,  
Że się ze Spartą razem poprawioną  
Poprawię....

**Archidamia**

Kiedyż będzie ta odmiana?

**Agezylausz**

Od Waćpani to zupełnie zależy:  
Mieć ją dziś albo jutro....

**Archidamia**

Co Wać gadasz?

**Agezylausz**

Wać pani, że na skrzyniach pełnych złota siadasz,  
Nie wierzysz, że gdzie człowiek być może bogaty  
A nie chciwy....

**Archidamia**

Na moje stare knę się gnaty,  
Że ci tu nie pozwolę do mnie takiej mowy....

**Agezylausz**

Gdy posłyszysz Wać pani, z jakimi ja słowy  
Przychodzę—jaka we mnie mówi druga dusza?...  
To wy wszystkie kobiety 3), jak na Orfeusza  
Pijane pieśnią Bachantki wpadniecie na 4)  
[kruki 5)—

Miłością rozszalone, wściekle, rwąc na sztuki  
Ciało, pełne wieszczego ducha....

**Archidamia**

*Prym 6) Waszeci.*

**Agezylausz**

Kobiety, Archidamio, zazwyczaj jak dzieci,  
Jeśli znajdą piszczałkę, do ust nie przyłożą,  
Ale szukając czaru i głosu, otworzą  
Brzuch i patrzą pytając 7): co w niej tak śpie-  
[wało....

I wy zaraz radeby otworzyć mi ciało

I widzieć: czy jam skąpstwo wyrzucił i chci-  
[wość 8),

Czy mnie sława, czy jaka wewnętrzna zelżywość  
Rzuca w rewolucję....

**Archidamia**

Horror i płomienie! 9)

1) „Rozgardjasz“ znaczy: biesiada, rozpusta; tutaj: rozpusta.

2) Przekreślono: „Ty“.

3) Poeta zaczął być pisać: „To i temi kobietami..“.

4) Myśl dopomina się tu: „wpadniecie, jak kruki“ (Pr. Red.).

5) „porwiecie się razem, W szmaty mnie roztargawszy“.

6) „Tak jest w rękopiśmie“.

7) „i patrzą w piszczałkę“.

8) „I wy, gdy oto powiem tę rzecz w duchu całą, Z bronią jako  
Minerwa z ust wylatująca, To wasze oczy chciwe same się za-  
maga, Chcąc widzieć nadto jasno“.

9) Co ty—ty się rzucaś w rewolucję?!

**Agezylausz 1)**

Wymówiłem i słowa swego nie odmięję: 2)  
Zaczynam rewolucję....

**Archidamia**

Do kociub, dziewczęta!  
Wyrzucić mi go za drzwi!

**Chorus**

Powstała natchnięta  
I urąganiem niby pierwszą wieść odpycha  
Ale oczy jej gorą, piersi ogniem oddycha.

**Archidamia**

Gdzie król Agis?

**Agezylausz**

Gdzie Agis?

**Agezylausz**

Zaczyna ofiarę, 3)

**Archidamia**

Niech zacznie od nas: słabe jesteśmy i stare  
I podług praw Likurga wszelkie niedołęstwo  
Wraca do piekła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Obowiązki kobiety oświeconej

WZGLĘDEM KOBIET NIEOŚWIECONYCH.

(Dokończenie)

Człowiek samym umysłem nie jest, tak jak nie jest nigdy, nawet będąc nicością największą, tylko wyrobem tej kultury obyczajowej, która takie ogromne różnice zdaje się zaprowadzać między klasami wykształconymi a ludem prostym. W pierś każdego człowieka mieszka siła indywidualna, uczuciem zwana, i ona-to stanowi pomiędzy ludźmi łącznik potężny, bo będąc wszystkim wspólną i od umysłowości niezależną, zdolna jest najbardziej pod tym względem rozdzielać ludzi ze sobą łączyć i być tą nicią, która od jednego do drugiego serca przechodząc, węzłem między nimi się staje. Trzeba przebywać z tymi, których chcemy pokochać, i często dość jest przebywania tego, abysmy mimowoli i wiedzy naszej pokochali; to też nigdy prawdziwym i szczerym przyjacielem ludu nie będzie ten, kto tylko przez przyzmat idei na niego patrzy, choćby pod idei tej siłą poświęcał się, siebie i dobro swoje na ofiarę celowi swemu oddawał. Można w ten sposób poświęcenie to szlachetne bezużytecznie marnować, jak marnowano je już nieraz, jak tu i tam marnuje się ono i dziś jeszcze. Pierwszym warunkiem wszelkiej rzeczy, która ma się w żywym życiu rozwi-

1) Następuje przekreślony ustęp:

**Agezylausz**

Pozwól mi, pachnie moim synem,—  
Musiał dotknąć Agisa.

**Agezylausz**

Srodze mię zasmucasz,  
Archidamio. Nie jestem ja wprawdzie Delfinem,  
Który się przez trzy lata trzyma jednej łodzi,  
Aby majtki rozbite wynosił na grzbiecie;  
Stary jestem, o swoje też dbam, a mam dzieci:  
Więc i o nie się troszczę. Jednak nie wiesz może,  
Ze między dziećmi memi wychowałem także  
Myśl Spartańska, i ta się u mnie tak żywiła,  
Jak syn, a starszą będąc i lepszą z natury,  
Jeszcze dzieci przerosła.... Dziś ta dziewczka silna  
Wszystko mi w domu wzięła za łeb,—mnie samego.

2) Następuje przekreślony wiersz:

„Choćbyś mnie miała zdradzić Asani“.

3) Chorus: „O Spartanki stare...“

jać i działać, jest miłość; otóż i tu trzeba miłość w sercu mieć, aby skutecznie pracować — trzeba lud kochać, lecz pokochać go można tylko przez zbliżenie do niego osobiste, przez stykanie się z nim takie, w którym ludzkie strony jego natury duchowej przed oczy nam wystąpią. Niech w obecności naszej matka, choćby brudna i w łachmanach, dziecko swoje miłośnie do piersi przycisnie, niech je swoim skarbem, życiem nazwie; niech w obecności naszej ta kobieta nad umierającym mężem ręce załamie, lub mężowi u grobu żony niech pierś wielkim płaczem nagle się rozerwie, to nam — jeżeli zimnymi jak lód głazami nie jesteśmy—wszelkie różnice stanu, wychowania, wykształcenia, naraz zprzed oczu, a raczej zprzed serca, znikną i w tej litości, w tem współczuciu, które nam pierś podniesie, poczujemy się odrazu do jedności i braterstwa ludzkiego z temi grubemi, ciemnymi, umysłem niskimi istotami, które jednak, tak jak my, czują, cierpią, kochają, do drogich sobie istot tęsknią, i już nam od tej chwili pewna dla nich tkliwość w serce tak wstąpi, że nigdy potem zupełnie obcymi względem nich czuć się nie będziemy—nie będziemy szczególnie uważać się za jakieś twory z innej krwi i kości. Nie sympatyi zadzierzguje się pomiędzy ludźmi przez takie tylko obcowanie ze sobą, które daje im poznawać się wzajemnie przez mieszkającego w pierś ich ducha, i tak my do ludu, jak lud do nas w ten jedynie sposób przywiązać się może, jeżeli wspólne cechy ludzkiej natury ujawniając się, wiązać i łączyć nas ze sobą będą. Forma, szata zewnętrzna, coraz mniejszą różnicę stanowić będzie i przestaniemy zapominać, żeśmy bracia, jednej ziemi dziećmi—rodzina jedna.

I wtedy też tylko uczujemy prawdziwie potrzebę oświaty ludu: ta dusza jego, która teraz wyjrzy do nas, potrzeby tej konieczność silniej nam wykaże i już nie dla idei, nie dla celów pobocznych, choćby najszlachetniejszych, ale przez mimowolne, z głębi naszej idące parcie, światło, które posiadamy, będzie pragnęło udzielić się ciemnym.

Wtedy też pani z białego dworu nie będzie przechodzić obojętnie koło sąsiadki swojej z niedalekiej chaty, a nawet do tej chaty nieraz zajdzie, wiedziona tą myślą, że jej tam jest czasem potrzeba jako starszej siostry, jako przyjaciółki starszej, która ma coś do powiedzenia, do udzielenia młodziej. Dziecko, gospodarstwo domowe, stosunki małżeńskie: wszystko to przedmioty oświecania moralnego, z czem połączyć się może i coś wiedzy, której umysłowi potrzeba, aby z ciemnoty, z niewiadomości, z grubych przesądów wyszedł. Wszakże słońce, które dziś rano różową jutrenką tam oto ponad wioską zaświtało, teraz w tej znowu stronie za las zachodzi, i rosa pada, gwiazdy na niebie świecą, a czasem czerwone słupy płomieni na błękitach tych goreją, czasem kometa ze srebrną miotłą się ukaże i ludzi straszny. A same zmiany pór roku: jesień, zima, a potem wiosna i lato, które zawsze jednakowo, z regularnością dobrego robotnika przybywają—czy to nie materyał do oświecania wśród przyjacielskiej pogadanki?—tak jak i ogród, sad po za chatą, w którym owoc na jabłonce, na sliwie nie dojrzewa, a ptaszek, co nas zimą odleci, na gałązce świergoce.

Ale powtórzę raz jeszcze: niech to nie będzie lekcy jak z katedry, bo stanie się wtedy rzeczą niepożyteczną, ale gawędka po przyjaźni: sąsiedzka, towarzyska —zawsze jednak z takim planem przeprowadzona, aby zaczynając od tego, co najprostsze, najbliższe, posuwać się zwolna ku dalszemu, nieznanemu, a jednak domagającemu się poznania, gdy myśl raz ciekawie rozbudzoną zostanie.

Lecz panią z pięknych pokoi—młode, swobodne, przez tę swobodę i młodość swoją szczęśliwe stworzenie, która ma jeszcze tyle życia, tyle czasu przed sobą, której jeszcze nic: ani choroba, ani troska cięższa nie przygniotły, a może tylko przygnieść nuda, gdy będzie bezczynnie w pokojach siedzieć, koronkowe pajęczyny dzierzgać, konwencyalnie po ogrodzie spacerować, marząc o kochanku, który się nie zjawia, o mężu, którego nie widać — ta mogłaby już właściwie uczyć takie, jak ona, krasowice: wiochny, jak



ona życia i ludzi ciekawe. Ale i na to szkoły bynajmniej, bynajmniej urządzić nie potrzeba; są latem niedziele i święta, które mogą w popołudniowe godziny młode grono, jak rusałek Zoriny, w sadzie, w lasku, pod jakimkolwiek cieniem drzew zgromadzić; są długie, długie wieczory zimowe, a ludzkość ma poza sobą takie szeregi lat, wieków, wypadków: dziejów człowieka i przyrody. Ona o tem wszystkim wie zawsze tyle, że mogłaby wiedzę między niewiadomymi szerzyć, ma dobre książki, któreby mogła adwentowym czasem na wieczornicach czytywać. Mogłaby—gdyby chciała...

O! niechże chce, a Bóg na niebiosach i ludzie dobrej woli na ziemi błogosławić jej będą,—niech chce, niech zrozumie, że światło nieciężkie, to najpiękniejsza, najszlachetniejsza, świętości bliska praca. Ona, ta paniątka z naszego dworu, ogólnie biorąc jest dobra: ma więcej instynktów szlacheckich, niż niskich, i jeżeli jej pieszczołtliwe wychowanie nie zniedołężniło, jeżeli jej elegancja, sztyk kosmopolitycznie pański nie wykoleiły, ze swojego typu nie wyparły, ma w ciepłej piersi pragnienia uczciwe, ma ukochania święte: niech też tylko doda do tego ten wyższy pogląd na życie, przy którym ludzkość cała przedstawia jeden wzniosły obraz pracy na ogólny dorobek duchowy; niech doda do tego szlachetne dążności obywatelskie, niech nadewszystko wydobędzie sobie z serca, naturalnie w niem złożone, iskry miłości bliźniego: a poczuje się do obowiązku, o którym, z małym wyjątkiem, zapomniała dotąd, a raczej nie myślała o nim nigdy w jego szerszym i głębszym zastosowaniu.

Z własnego doświadczenia, z własnych spostrzeżeń nad życiem doszłam do tego przekonania, że tylko zbliżenie pewne do klas oświeconych rzeczywiście lud oświeca. Weźmy naprzykład tych starych wiarusów, o których Pol gawędy pisał: co to była za szkoła, którą przeszli, aby zrozumieć to i uczuć, co rozumieć i czuli w stopniu niesłychanie wyższym od tego ludu, z pomiędzy którego wyrwała ich jedynie służba wojskowa? Czy to nie wieczory przy jednym obozowym ognisku z ludźmi wykształconymi: czy to nie noce na placówkach z nimi pędzone—nie to koleżeństwo, które się wtedy między nimi zawarło wykształciło te umysły, z grubej jej ciemnoty wydobywając?

Nigdy inaczej światło, prawdziwą świadomość życia i jego celów wyższych dające, do ludu nie przychodziło, i tylko przez zetknięcie się bezpośrednio z umysłem oświeconym umysł ciemny rozjaśni się może skutecznie. Nauka z książki, to abstrakcja dla niego. Wieśniak przeciętny na to czytać się nauczy, aby w Niedzielę odsyllabizować mozolnie kilka modlitw, gdy do kościoła pójdzie, i nauka czytania wtedy tylko płodną się okaże, gdy wpływ światła żywym słowem niesionego, współdziałać z nią będzie, gdy do niej umysł przygotowuje, przez obudzoną wiedzy ciekawość, gdy myśl z zastój wyrwie i do pracy rozumowania uzdolni.

Kiedy marzę arkadyjski obrazek złotego wieku, wśród naszych pól i lasów przeniesiony, to widzę między chatą i dworem stosunek obcowania towarzyskiego, uczciwie, posądzku, pobratersku zawiązany. Nic-by to nie szkodziło powadze pana, jako najstarszego wśród współobywateli gminy swojej; a paniątka za ręce z wiochnami się trzymająca wśród tego koła, które wesoło śpiewa: „Uciekła mi przepióreczka w próso...“ lub wraz z niemi ognisko sobótkowe otaczająca, nie zgrubiałaby dlatego, nie zchłopiała by najmniej: nie onaby tylko, dając drugim, i sama coś wzięła.

To, co Zmichowska pisze w tej prawie autobiografii swojej, noszącej tytuł: *Niby powieść*, to co wyznaje, że może nigdy poetką-by nie była, nigdy-by takiego uskrzydlenia twórczej fantazji, takiego rozbudzenia poetyczności w sobie nie miała, gdyby nie wieczory za dziewczęcych jej lat w czeladnej izbie wiojskiej przepędzane—to wielka wskazówka. Obcowanie z ludem jest dla nas ludzi cywilizacji starej, jak przyłożenie ust do świeżej wody, wprost z krynicy bijącej. Duch się odświeża, ochładza z niej gorączki pożądań sztucznie w nim wyrobionych, wraca do źródła poezji pierwotnej, do czerstwej, jędrnej prostoty i otrząsa się z lichej konwencyonalności, z salono-

wej przeelegancji, z miękkiego, denerwującego oderwania się od natury. Krzepko i na mocnych nogach stać się nauczy młodość taka, która umie z ludem przymierze bratniej przyjaźni zawrzeć, bo coś jego dzielności przez to nabierze i nie da się życiu w zamkniętym, wyperfumowanym pokójku tak nad miarę wydelikatnić, aby potem być śliczną laleczką—do niczego. Z ludem się stykać, to znaczy z konieczności do natury się zbliżać, jej powiewy, jej posilne aromata w siebie wciągać, grać się na słońcu i na deszczu nieraz zmoknąć, iść w las, iść w pole: całą, pełną pierśią oddychać, całą siłą żywotną organizm swój rozwijać. A nabytek to zdrowia nietylko fizyczny: jak się wtedy w gorset ciasny zasznurować nie można, tak nie można podpinanej *à la Watteau* sukni na tle takiej prawdziwej, szczerzej sielskości nosić.

Gruby naturalizm tak jest wstrętnym, jak prze rafinowana elegancja: jedno i drugie jest równie sztuczne i nienaturalne, jeżeli naturę brać będziemy nie wedle zwierzęcia, ale wedle człowieka. Ideał, który nam duchy w niebo podnosi, jest zawsze i stokrotnie, tysiącrotnie bliższym takiej natury, choćby najprostszej, niż wydmuchanej, wyluchanej elegancji, która tylko w atlasowych trzewieczkach po kobiercach stapać umie. Tam się przynajmniej jakoś, jakoś żyje — tu wegetuje się tylko w nicości i nieporadności niby tych Chińców, którym od dzieciństwa nogi w płótno zaszywają, aby mądziubdzie stopki miały. I staje się też jak żądano: są nóżeczki lalek ślicznych, tylko że istoty ludzkie tą pięknoscą się cieszące, na wzór lalek kulawemi być muszą, i na zeszywniałych nierozwiniętych nóżkach chodzić nie mogą.

Stosunek nasz do ludu przez służących i domowników—to też droga, też środek cywilizowania, oświecania klas ciemnych, i stwarza to także kobiecie wykształconej obowiązek ludzkości, do którego również poczuwać się powinna. Ciąg to jest dalszy stosowania wyżej podniesionej zasady; przecież namysł nad tem stanowi pewien całokształt moralny, w którym zawrzeć go należy.

Marya Rnicka.

## KTÓS

### POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Tu wstrzymał się trochę ze zwierzeniami pan Konrad.

— Dobry człowiek, ale osobliwy—dodał,—coś w nim siedzi. Szczęśliwy nie jest, i — co dziw—tak, jakby nie chciał i nie starał się nim być. At—żyje — dowcipnie szepnął Konrad — żyje jak za pańszczyznę.

Paczuski rozśmiał się z tego wyrażenia. Nie chciał dłużej już rozmowy przeciągać, aby się nie zdradził ze zbytnią ciekawością.

Oddał załamany bilet elegantowi.

— Jak tam kiedy będziesz koło mnie przechodził—rzekł—proszę, wstąp do mnie. Ciekawe te historie, doprawdy, z tym człowiekiem!

Szkoda go, bo bardzo jakiś zaeny i dobry się być zdaje.

— O! przeciw temu nie można nic powiedzieć—odrzekł p. Konrad.

— A kiedyż go zastać napewno?—zapytał pan Emil.

— Zwykle do południa się nie rusza—odezwał się służący.— Nie wiem, czy toby znaczyć miało, że przez kilka dni go nie będzie? Któż to wie? ale dziś wyszedł raniej.

— Chciałbym go zobaczyć, mam trochę do pomówienia—rzekł Paczuski.

— To niech się jaśnie pan pofatyguje jutro,—skonkludował Konrad.

Paczuski odszedł tryumfująco. Nie dowiedział

się wprawdzie tak, jak nie—ale zarazem bardzo wiele. Ten zupełny brak korespondencji w naszym wieku, prawie bezprzykładny—te znikania tajemnicze, rzuciły na postać, już i tak zagadkową, cień jeszcze grubszy.

Nazajutrz, przed dwunastą, nie chybił p. Emil i dzwonił znowu. Czekał nieco i p. Konrad się ukazał jak wczoraj, ale w odmiennej postaci.

Nie miał fartucha ani trzepakki; na głowie ufrizonowanej wczoraj, czapeczkę haftowaną włóczkową naksztalt fezu, na nogach wygodne fantofle. Twarz, nieco zmęczona, nie miała wczorajszej świeżości; marszczki czoła okazywały zafrasowanie.

Nim Emil miał czas go zapytać o pana, Konrad ręce rozpostarł i rzekł cicho:

— A com mówił? Niema go od wczoraj. Wyszedł w jednym surduciku. Teraz czekaj, czekaj i rób sobie co chcesz! Może powróci Bóg wie, oto w Maju, a może w Czerweu i w Lipcu—raz go dwa miesiące nie było, a powrócił taki, jak z krzyża zdjęty. I — jak Boga Kocham — dodał ciszej p. Konrad, ręce takie namulane, jakby drwa rąbał przez ten czas.

Ruszył ramionami.

— Kto go wiedzieć może!

Paczuski się zadumał mocno.

— Ależ pieniędzy przecie ma zawsze dosyć, bo ich wydaje dużo i nie oszczędza? — zapytał po chwili.

— A! co się tyczy pieniędzy—pochwycił, broniąc honoru domu, niemal oburzony p. Konrad—jest ich jak lodu. Kiedy przyjdzie półrocze i obcinają się kupony, to jak siądzie, proszę jaśnie pana, z nożyczkami za stolikiem, przykazawszy nie wpuszczać nikogo, czasem więcej niż pół dnia przetrwa przy tej robocie.

A znowu i to trzeba wiedzieć, że małych papierków u niego niema, bo ja mniejszych nigdy kuponów nie widziałem nad dwadzieścia pięć rubli.

Teraz ja—proszę jaśnie pana—niewolnik przykuty do progu!—dodał biedny elegant.

— Ale spocznieś przez ten czas! bo i roboty mieć nie będziesz.

— Niewola gorsza, proszę jaśnie pana, od najgorszej pracy—odparł, wdychając, sługa. A, cóż robić—trzeba swój los znosić—jaki Bóg dał!

Paczuski miał ochotę dłuższą rozpocząć rozmowę, ale Konrad był do niej nieusposobiony,—westchnął, pokłonił się i drzwi zamknął.

Emil Paczuski siedział w wygodnym fotelu; sparty na rękę i paląc cygaro, robił rachunek sumienia.

Był sam jeden w swem kawalerskim mieszkaniu, odpowiadającym w zupełności jego położeniu towarzyskiemu i powołaniu człowieka, który myśli tylko o zabawie.

Zajmował kilka pokoi, elegancko umeblowanych, bez szczególnego starania o wdzięk i smak; szło widocznie raczej o okazanie dostatku — a ten był udowodniony mnóstwem rzeczy kosztownych.

Jak w głowie i sercu młodzieńca, tak w mieszkaniu jego panował nieład, który wskazywał, że jeszcze drogi swej i charakteru nie był pewnym. Sprzeczało się tu rzeczy mnóstwo—wpływ domowy walczył z wpływem świata otaczającego.

W sypialnym pokoiku nad łóżkiem był obrazek N. M. Panny, dany przez matkę z zakłębieniem, aby go nigdy nie odstępował. Na stoloczku małym śliczna w aksamit oprawna fotografia przedstawiała kochaną Mamusię, łagodnie uśmiechniętą, jakby nad swoim drogim skarbem czuwała.

Obok tych świętości wałaly się, porozrzucane i wcale niekwadrujące z niemi, książki i fraszki bez wartości, a szpiegujący ciekawiec byłby w szufladce stolika, na którym stał obrazek matki, odkrył fotografie balleryn i piękności dwuznacznych...

Jak w sypialni, tak wszędzie nagromadzone były sprzeczności, który chwilowym popędem odpowiadały. Obok kilku sztychów z Ary Scheffera wisiały na ścianach sławne wyścigowe konie i sceny sportu... Książki i przybory myśliwskie ścisnęły się razem, ubrania maskaradowe, stroje wyścigowe, pamiątki zabaw, do których głośno się nie można było przyznać...

Emil tak żył z dnia na dzień, dając się prądom



najsprzeczniejszym unosić, niepewien, dokąd go to życie zanieśie, mówiąc sobie z niecierpliwością dziecka, że zawrócić się zawsze jeszcze czas będzie.

Zdala czuwała nad nim sercem i modlitwą matka; on tymczasem używał tej młodości, która się miała wyszumieć.

Mamunia, jużby go może wolała widzieć przy sobie, ożenionym z dobrą miłą kobieciną, na spokojnym gniazdku—ale Emil obawiał się niewoli—i, miał interessa w Warszawie.

Często potrzeba było całej jego przebiegłości a całej łatwowierności mamusi, aby te interessa uczynić możliwemi, ale—wszakże Emilek kłamać nie mógł.

Życie płynęło bezmyślnie, bez celu — dziwnie użytkowywane. Jeżeli mu było potrzeba popisać się przed panną Michaliną z literaturą, wówczas czytał zapalczywie, zajmowało go to, zamykał się z książkami. Potem koń i myśliwstwo całkiem go zaprzętało i książki szły bodaj pod kanapę. Z kolei żyjąc z ludźmi różnymi, nabierał barw najrozmaitszych — ale swej własnej nie wyrobił sobie...

Nic go nie pociągało—oprócz tego, co się wogóle mogło nazywać życiem. Strumienie żywota chwytaly go i płynął z niemi. Rozmaitość wrażeń, żywość ich, sprawiała, że mu własna płochosć nie ciążyła i nie wydawała się groźną.

Taksamo w kotylionie starał się przypodobać umiejętnością taneczną pannie Julii, jak w innych sprawach Michalinie i różnym mnogim pięknościom.

Szło mu o to, aby wszędzie grał pewną rolę wybitną; a rolę tych brał na siebie zawiele. W pewnym względzie był to ratunek może, aby go jedna zbyt nie pochłoneła, z drugiej strony — mógł nałóg płochosć się wyrobić. Ale Emil nie widział tego niebezpieczeństwa.

Taksamo, jak się wdawał w różne zokeyskie intryki przy wyścigach, teraz puścił się na szpiegowanie owej towarzyskiej zagadki, jaką był dla wielu—Sylwan Horpiński. Znajdujemy go właśnie w chwili, gdy, szpiegowstwa tego ważąc skutki—zawahał się, czy mu przystało iść dalej.

Zadawał sobie pytanie: czy w tej ciekawości nie było coś uwłaczającego charakterowi?

Cieszył się ze zdobytych wiadomości, miał je za ważne,—Sylwan go więcej teraz niż kiedykolwiek pociągnął swoją excentrycznością; ale czy się godziło iść tak w stopy za człowiekiem, który pewnie miał powody osłaniania się tajemnicą? Czy nie było niedelikatnością cisnąć się do zamkniętych drzwi?... czy przyzwoity człowiek mógł się podjąć choćby dla pięknych oczów Misi — posłannictwa wszędzie napiętnowanego jakimś wstętem i ohydą?...

Wahał się Emil i miał słuszość. Siedział jeszcze obarczony myślami temi w fotelu, dumal i krzywił się — umizgi do odprawionego Konrada już w nim budziły odrazę... wtem do drzwi zadzwoniono.

Po głosie i po chodzie poznał przyjaciela, Józia Szalewskiego, i nigdy może tak mu rad nie był.

Żyli z sobą, pomimo małych nieuchronnych sprzeczek—jak brała. Emil uznawał wyższość i takt Józia, radził się go chętnie; nie miał prawie dla niego tajemnic.

Poszedł więc otwartemi rękami go uściskać.  
— W porę, jak zawsze, mi się zjawiasz—zawołał. Masz przecucie serca, że mi byłeś i jesteś potrzebny...

Siadaj, weź najlepsze cygare i słuchaj.  
Z półśmiechem na ustach Szalewski rzucił się na drugi fotel.

— Znowu coś tak ważnego mieć musisz — rzekł—jak ostatnim razem, gdyś nie mógł na własną odpowiedzialność wybrać koloru czapraaka pod siodło?... he?...  
Emil się rozśmiał.

— Ale ba! rzecz stokroć ważniejsza — rzekł. Słuchaj tylko...

Pochyliwszy się ku Szalewskiemu, cicho i ostrożnie, Paczusi poczał mu się spowiadać z zabiegów około odkrycia tajemnicy Sylwana.

Józio słuchał dosyć obojętnie, zdając się być daleko więcej zajęty cygarem, niż powieścią przyjaciela — ale twarz mu się chmurzyła. Emil do-

kończył, a Józio jeszcze się nie odezwał ani słowem.

— Jak ci się zdaje?—zapytał Paczusi—mam dalej prowadzić śledztwo, czy go zaniechać?

Józio milczał jeszcze.  
— No, mówże!—naglił, milczeniem tem podrażniony mocniej, Emil.

— Kochany mój—poważnie rozpoczął Szalewski—zadałeś mi pytanie ambarasujące. To zależy zupełnie od gustu, czy kto chce zostać szpiegiem lub nie.

— Jaktol... szpiegiem!—oburzył się Emil.

— Bo tego inaczej nazwać nie można—mówił Józio.—Niemasz od nikogo mandatu, ani prawa żadnego do śledzenia postępów tego człowieka.

— Przepraszam cię!—zagrzmiał obrażony Paczusi.—Należę do tego społeczeństwa, do którego się on wcisną—spełniam obowiązek...

— A! a! — puszczając dym, odparł Józio — to pocóż mnie pytasz, jeśli jesteś pewnym tego?

— Chcę wiedzieć twoje zdanie.

— Mojem zdaniem jest—że najuczciwszy człowiek mieć może powody niekoniecznie wszystkie swe czynności poddawać pod sąd, często niesprawiedliwy, ogółu—mówił Józio. — Mojem zdaniem jest, że, dopóki niema słusznych powodów przesładowania kogoś—nie godzi się go przesładować.

— To nie jest przesładowanie!—przerwał Emil.

— Jest owszem, bo to co on chce ukryć, ty zamierzasz wyjawić. Niema wątpliwości, że mu czynisz przykrość. Zasłużył on na nią?

— Za surowo to bierzesz—zawołał skłopotany Emil. Nie chcę mu szkodzić.  
Józio szarpnął rękami wstrząśliwie.

— A, daj mi pokój! wprost ci powiadam: ani rozumiem tej twojej ciekawości, ani jej pochwalam. Miałżebyś być zakochanym w pannie Michalinie? 2-o) zazdrosnym? a po trzecim...

— Ale—na rany Boże! — przerwał, nie doczekawszy trzeciego, Emil.—nie jestem zakochanym i nie bywam zazdrosnym.  
— No—to przerwijmy tę konsultacyą.

Wistocie zaczęli mówić o czym innym, ale w Emilu zbyt żywo jeszcze grała myśl pierwsza i—po krótkim epizodzie wrócił do założenia.

— Powiedz mi otwarcie—jak sobie tłómaczysz to tajemnicze znikanie Sylwana, o którym Konrad mi mówił.

Józio się rozśmiał.  
— Myślałem, żeśmy już skończyli z tem — rzekł.—Otwarcie ci powiem: Konrad, jak wszyscy służący, ma pewną urazę do pana, że—musi unie-go być lokajem—przesadza, a może kłamie.

Peryodyczne to znikanie, może się tłómaczyć w sposób najprostsz w świecie. Może się on przed panem Konradem tłómaczyć z niego?

Emil odprawiony w ten sposób — już nie mówił o tem więcej.

Następnego Czwartku miał zamiar pójść do pani Zawierskiej i w sposób żartobliwy, lekki Misi się wypowiedzieć, ze zdobytych wiadomostek... poprostu pochwalił się niemi.

Skrupuł jakiś wstrzymał go; poszedł, zamiast na wieczór, do teatru, a pierwszą osobą znaną, jaką tu spotkał, był idący do krzeseł z ogromną teatralną lornetą Sylwan.

Nie miał wcale zagadkowej ani tajemniczej fizjonomii — można było wziąć go za sztywnego nieco Anglika, spokojnego, pewnego jutra, który niema co robić, nudzi się i szuka roztargnienia.

W czasie między aktami zeszli się na kurrytarzu. Emil zbliżył się do niego.

— Gdzieżeś pan bywał pod te czasy — zapytał—żeśmy go nie mieli przyjemności widzieć?

Sylwan tylko zmierzył oczyma pytającego.

— A! prawda!—rzekł—znalazłem bilet pański u mnie... przepraszam, że dotąd być nie mógł. Parę dni polowałem. Mam ten brzydki zwyczaj, że gdy mi przyjdzie fantazyja wycieczki na wieś, konnej jazdy, polowania—nikomu się nie opowiadam, biorę konia, i—w świat!

I ostro patrząc w oczy Emilowi, jakby w nim chciał czytać, dokończył:

— Pewny jestem, że mój famulus, który tych fantazyji rozumieć nie może, musiał kwaśno o tem mówić...

Emil nie chciał zdradzić dawnego slugi.

— Nie mówił mi nic, oprócz, że pana w domu

nie było i że nie wiedział kiedy powróci — rzekł Emil.

— Trudno, aby on mógł wiedzieć o tem, o czem ja sam wyjeżdżając, nie wiem nigdy — dodał Sylwan, uśmiechając się.

Dzwonek powołał ich na miejsca. Emil wrócił na swoje, rozczarowany. Wielka owa odkryta tajemnica tłómaczyła się bardzo prozaicznie, i Horpiński nie czynił z niej sekretu.

Paczusi wyrzucił sobie teraz, iż fantazyja za daleko go uniosła. Postanowił zaniechać dalszego śledztwa, ale następnego czwartku znalazł się u pani Zawierskiej.

Salon tego wieczora był przepełniony; tylko pana Sylwana nie dostrzegł Paczusi między gośćmi.

Panna Michalina ze swobodą i dobrym humorem zwykłym pomagała matce w zabawianiu gości i zdumiewała ich wielostronnością swoją.

Professor M.... po półgodzinnej z nią rozmowie, otarłszy pot z czoła, poszedł do Rady S.... i nie mógł wytrzymać, aby mu nie zwierzyć się, jak go ta „dziewczyna“ intrygowała.

— Powiadam rady: czytana tak, że radbym, aby niejedyn z naszych pseudo-uczonych—tyle tylko, co ona, miał wiadomości! Osobliwy fenomen.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 10 Stycznia 1884 r.

Przegląd i opowiadania kapitana Kurosza. Zamek w Hiszpanii. Zakład. — Posepna szarada. Konkluzja. — Obchód rocznicy śmierci Gambatty. — Śmierć Wiktora de Laprade. — Kłuka słów o poecie i satyryku. De Laprade i Sainte-Beuve. — Henryk Martin historyk, i polityk. Jak się złożyła jego *Historja Francji*? Ostatnia wola. — Pogrzeb ewilno-religijny. — Teatr. — Pojedynek Sary Bernhardt z panną Colombier. — Nowa książka i stary skandal. — Nowa sztuka w Teatrze Vaudeville'u. Upadek. Przyczyny. — Franciszek Copeé; nowy jego dramat *Severo Torelli*. — Powodzenie.

(Dokończenie).

Katolik był duszą i sercem; utwory jego wszystkie prawie napiętnowane są uczuciem powagi i godności religijnej, i jak się wyraził o nim Sainte-Beuve: „*Występuje on zwykle, jak celebrujący hierofant*“. Imię jego poza granicami Francji, jeśli jest znane, to bardziej ze względu na piękny przykład niezależności i prawości, jaki dawał w całym swem życiu, cichem i skromnem, aniżeli z powodu poezji. Pisma de Laprade'a u nas nieznanie są prawie. Same ich tytuły pokazują już znaczenie i tendencje wyłącznie religijne: „*Wonie (Parfums) Magdaleny*“, „*Gniew Jezusa*“, „*Poemat drzewa*“, „*Poemata ewangeliczne*“, „*Symfonie*“ i t. d. Ale co mu największy w swym czasie dało rozgłos, było to, kiedy, wybrany do Akademii Francuzkiej, zastąpił w niej zmarłego Alfreda de Musset'a i wydał swoje *Obywatelskie (civiques) Poemata i Trybuni i Dworacy*, rodzaj dość gwałtownej, dziś już zapomnianej, satyry przeciw ludzom cesarskich rządów. Wskutek tego odebrano mu, dość niezręcznie, katedrę, którą zajmował w Fakultecie Literackim w Lyonie.

W jednej z tych satyr dostało się grubo Sainte-Beuve'owi, a młodzież szkolna, która zwykle poszukuje chciwie wszelkich satyrycznych wierszyków, przyjęła z zapalem tę dyatrybę poety. A skoro komu z tej młodzieży burzliwej zdarzyło się wówczas spotkać na ulicy Sainte-Beuve'a—byli taicy, co nań czekali umyślnie nawet—wówczas student z grzecznym ukłonem zbliżał się do Akademika-Senatora i pytał uprzejmie:

— Czy to z panem de Lapradem mam honor mówić?

Po wojnie, wskutek tych zajęć za Cesarstwa, L. obrany był deputowanym do Zgromadzenia Narodowego, ale, rzadko zasiadając, wkrótce złożył swój mandat, i zupełnie się usunął z widowni politycznej, a nawet z literackiej. Umarł d. 14 Grudnia w Lugdunie. Zostawił trzech synów i dwie córki. Ostatnie dzieło de Laprade'a ma za tytuł:



*Ojcowska księga* (Le livre du Perè); wyszło na świat w 1876 r. Poeta je uważał za swój testament poetycki.

Tegożsamego dnia (14 Grudnia), po krótkiej chorobie dni kilku, umarł w Paryżu, o dwa lata starszy od Laprade'a, historyk i senator Henryk Martin. Była to prawie legendowa postać w Paryżu, ten oryginalny typ uczonego urzędnika, zawsze w ruchu, zawsze w biegu: suchy, wysmukły, nerwowy, w kapeluszu pochylonym na tył głowy; mer okręgu Passy i senator, znany był całym światu. Przy białym zarostcie twarzy i srebrzystych włosach, nos i policzki miał dziwnie rumianie, co mu dawało wyraz, jakby jowialności i radości, których nie było przecież w charakterze człowieka.

Z powodu swoich liberalnych opinii, był on jednym z koryfeuszów Rzeczypospolitej, i z tego tytułu wzywany i zapraszany do przewodniczenia wszelkim bankietom, ucztom i zebraniom, znosił to odważnie i cierpliwie. Bóg, jednak nie obdarzył go wcale organem, odpowiednim opiniom i wziętości jego. Głos miał przytłumiony i schrypły, który wychodził jakby z rozbitego garnka. A wyrażenia i wyrazy poszukiwane mozolnie i łapanie jakby zniemacka, użyły uwagę publiczności, czekającej niecierpliwie końca, zwykle niedługich przemówień.

Cała jego popularność oparta była na wielotomowej *Historji Francji*, której nikt zapewne z żyjących nie przeczytał całej. Historia ta jest to sucha i rozwlekła kompilacja, w której autor starał się, niezawsze szczęśliwie, przeprowadzić nie wyobrażeń liberalnych współczesnych, pomimo najnielogiczniejsze przeciwieństwo wśród wypadków i czasów przeszłości.

Dzieło to nosi na sobie wybitną cechę okoliczności, w jakich początkowo powstało, i w jakich rozpoczął je pisać Henryk Martin. Jeden z ruchliwych wydawców owego czasu, pan Mame z Tours (przed 1830 rokiem), niewiele wróżąc dobrego dla jego literackich próbek w dziedzinie historycznych powieści, takich naprzykład, jak *Tancred de Rohan* i t. p., podał myśl młodemu Martinowi, zredagowania wspólnie z Pawłem Lacroix (Bibliophile Jacob), historyi Francji, złożonej z najlepszych i najdawniejszych kronikarzy i historyków; pod tytułem: „Historja Francji spisana przez najznakomitszych historyków“. Chodziło tu o streszczenie i uporządkowanie chronologiczne pisarzy, zaczawszy od kroniki Fortunata i Grzegorza z Tours, aż do naszych czasów.

Ale w trakcie, kiedy młody pisarz nagromadzone przez wydawcę cenne materiały, porządkuje i układa, wybucha Rewolucja 1830 roku i Henryk Martin, odkładając na stronę całą erudycją, rzuca się w odmęt polemiki dziennikarskiej, a nawet mamy z tej epoki kilka ciekawych próbek poezji, na gorący nastrój, i patryotycznych piosenek pomiędzy temi, jedna dosyć popularna w swym czasie, pod wyrazistym tytułem: „Wezuwiusz!“ została w pamięci wielu ludzi z tej epoki.

Powoli wszystko się to uspokoiło, młode wyrwało piwo, przygasły straszne zapaly i rozczarowany dziennikarz wrócił do odłożonych na stronę materiałów historyi, i po dwu latach pracy uporządkowanie i związanie wątku, przyszło do skutku, i zawsze ze współpracownictwem p. Lacroix, rozpoczął wydanie pierwsze swojej „Historji Francji“, które od 1833 do 1836 r. wyszło w 15 tomach.

Ta kompilacja, pod wspólną redakcją dwóch współpracowników, była zapewne dziełem cierpliwych poszukiwań i sumiennej pracy, ale widać w niej było to, co pozostało i dotąd wybitnem jej znamię. Widać było, iż się to stało, jak powiadają Amerykanie: *in the elastic way*, kauczukowym sposobem, to jest, gdy się co rozszerza w sposób sztucznego nadymania.

Następnie p. Martin, sam już i na swoją rękę wydał trzecią edycją (druga wyszła bez udziału w tem autora) „Historji Francji“, poprawną i powiększoną w 19 tomach. Od 1837 do 1854 r. wychodziła ona oddzielnymi tomami, w epokach nieoznaczonych. Autor, korzystając z wybornych i nowych prac historycznych, szczególnie Augusta i Amedeusza Thierrych, pomnażał i poprawiał wydane dawniej części swej historyi, rozszerzał

ciagle jej ramy i przerabiał swą pracę do ostatnich czasów, aż póki polityka czynna od 1871 r. nie pochłonięła całkiem jego życia.

Pogrzeb jego, sprawiony nakładem skarbu publicznego, był tą reprodukcją oficjalnych pogrzebów, jakimi tu od czasu do czasu rząd republikański wynagradza swoich adherentów. Są to zawsze: tensam karawan z piórami, tezsame sześć koni w kapach ze srebrem tażsama liczba wianków i wianuszków i deputacya w najrozmaitszych i najdziwniejszych często strojach, na krój wojskowy, z chorągwiemi i sztandarami rozmaitej barwy i formy. Tu, jako wyróżnienie, była ta okoliczność, że pogrzeb ten nie był ani cywilny, ani religijny. Wskutek ostatniej woli nieboszczyka Druida, jak go tu nazywano żartem, z powodu niezmiernej ważności, jaką Martin przypisywał Druidom w ugruntowaniu państwa francuzkiego, który niechcąc iść przez kościół, aby nie obrazić politycznych swych przyjaciół, a niechcąc też zupełnie być pogrzebanym pociemem, prosił o wynalezienie mu kapłana z takiej sekty protestanckiej, któraby jaknajmniej troszczyła się o kościół, i temu powierzył odprowadzenie i złożenie zwłok do grobu. Znaleziono mu też znanego pastora, nazwiskiem Coquerelle'a, sławnego ze swych zajęć z protestanckim konsystorzem w Paryżu, który go wyprawił na tamten świat, w sposób najliberalniejszy. Ten kodycył charakteryzuje najlepiej człowieka i daje prawdziwą miarę jego umysłu i ducha.

Z teatru życia do właściwego teatru, do dziwadła, jak go słusznie nazywają Czechy, najlepszem przejściem nam posłuży, nowy wybrk, wiecznie wojującej Sary Bernhard-Damalowej *et caetera*, Dawniejsza jej przyjaciółka, dawniejsza koleżanka, panna Marya Colombier, towarzyszyła amerykańskiej wyprawy i innych wielu. *wydata książkę*, mówimy książkę, kiedy już nie ma innego wyrazu, do oznaczenia takiej nędzoty, pod tytułem dość zdaje się przejrystym, a dla odbytu zręcznie wybranym: *Sara Barnum*. Głupia to i paskudna książka; bo jest to zbiór plotek i ploteczek zakulisowych, podsłuchanych w garderobie lub sypialni i rozmazanych stylem *ad hoc*. Oficjalny monitor tych rzeczy, *Figaro*, opisał w szczególnym i temu poświęconym artykule—jak się te sokoły, Colombier i Sara, do czubów porwały; jak Sara szpicrutem oćwiczyła Colombier—jak i co się stało. Aż wkońcu się pokazuje, że bitwy żadnej nie było; że dawne towarzyszki zostają zawsze w przyjaźni i zgodzie, i że to wszystko było wyrachowane: na rozgłos, na skandal, na zaciekawienie publiczności i na odbyty książki! Ta pierwsza odsłona, dobrze już nas usposabia do tego, co dalej nastąpi.

Powiedzmy zaraz, że przeróbka powieści: *Królowie na wygnaniu* A. Daudeta, powieści, jak widać dość miernej zresztą, bo nie chcemy tu stawiać surowszej kwalifikacyi, przedstawiona została w Teatrze Voudeville'u w Grudniu. Dziś, kiedy zupełny upadek tej sztuki na scenie, jest rzeczą spełnioną; możemy tu powtórzyć, co nazajutrz po pierwszym przedstawieniu powiedział jeden z pierwszych krytyków tutejszych: „Otóż ogromny zawód spotkał Teatr Vaudeville'u. Zawód dla autora i aktorów. Jedno tu tylko mnie zadziwia: dlaczego ani nie uniknęli tego wypadku, który tak łatwo można było przewidzieć? Łatwo było przewidzieć, dlaczego? dlatego, że powieść nie warta, i jako powieść i jako tendencya. To objaśnia lepiej, co powiedziano Daudet'owi, również nazajutrz po wyjściu na świat tej powieści: „A, panie Daudet, pan taki patrycyusz rozumu, jakżeś mógł taki błąd popełnić? Wszystko się w tobie opiera tworzeniu tak niesforenego dzieła; przedmiot, w którym zablądziłeś na chwilę, to nie jest przedmiot dla twego umysłu. Z twojem usposobieniem tak wzniosłem, z twoim tak wytwornym smakiem, z twoim tak wykwinnym talentem, nie jesteś wcale stworzony do grzebania się w tych brudach wstydlivej literatury“.

Dla tych powodów i dlatego, że rzeczywiście powieść i sztuka z niej przerobiona, niemają artystycznej wartości, *Królowie na wygnaniu* zostali skazani wyrokiem publiczności, na wieczne wygnanie. Na dobitkę niepowodzenia, pierwsza dekoracya, jaką przedstawiono publiczności, z wido-

cząną chęcią przypodobania się, były to ruiny Pałacu Tuilleryjskiego. Otóż, nie jest to czas jeszcze, jakkolwiek są lekcje Paryżanie, aby z nich wszyscy, obojętnem okiem patrzyli na te ruiny; dodajmy jeszcze, że jeden z aktorów, aby podkreślić dalekie okazy sztuki, co do osobistości królewskich, starał się, nadać sobie podobieństwo do ex-króla neapolitańskiego. To oburzyło większą część publiczności, która wzięta w massie, jest lepszą daleko, niżeli mogłoby się zdawać. Słowem, niezręczna przeróbka, niedramatycznej powieści i drobne usterki przedstawienia, spowodowały upadek. Gdyby tu nie chodziło o pisarza prawdziwego talentu, jakim jest A. Daudet, nie warte-by to było wzmianki. Ale niech to posłuży za ostrzeżenie tym, którym się zdaje, że można sobie poczyniać z publicznością, jak się podoba!...

Kiedy już idzie o prawdziwy talent i o śmiałe zuchwałstwo w kreacji, możemy tu przytoczyć nowy dramat Franciszka Coppée. O poecie miałem już zręczność mówić czytelnikom moim, w jednej z przeszłych kronik „Bluszczu“, a da Bóg, powiem kiedyś jeszcze słów kilka o człowieku i o życiu jego, bo jest on dziś bardzo wysunięty naprzód, na widowni publicznej. Fr. Coppée, po starym wieszcu—po Wiktorze Hugo, jest dziś niezaprzeczenie pierwszym poetą francuzkim. Obowiązkiem naszym jest prawie nie zostawiać na stronie nic, co się tej osobistości tyczy. Dziś, tembardziej jest dla nas obowiązującym, że mamy przed sobą nowe, a jedno z najpierwszych i najważniejszych dzieł tego poety—dramat: „Severo Torelli“.

Jak wszystko, co z tego pióra pochodzi—dramat ten jest i oryginalny i znakomity; publiczność go przyjęła z zapalem, a pomimo niektóre usterki, o której zaraz czytelnikom powiemy, ten nowy płód, znakomitego pisarza stawi go na jednym z pierwszych miejsc w rzędzie dramatycznych pisarzy.

*Severo Torelli*, dramat w 5 aktach, wierszem, przedstawiony został w Teatrze Odeonu, gdzie Coppée niepierwsze spotkał powodzenie. Pierwszem wystąpieniem na scenę była jego przesliczna idylla: *Przechodzień* (le Passant)—misterna a wyrzeźbiona, jakby jaki grecki poemacik. Po tej nastąpiły: *La Grève des Forgerons*, *Fais ce que doit*, *Le rendez-vous*, *Le Petit Marquis*, *Le Trésor* i dwa lata temu *Pani de Maintenon*. Ale żadne z tych dzieł, choć piękne są wszystkie, nie obudziły takiego w publiczności zapala, jak dramat dzisiejszy i nie pokazało poety w tak czystym i jasnym świetle talentu.

Fr. Coppée, choć poeta i właśnie dlatego może, jest nawskróś Francuz i Paryżanin. W każdym utworze, w każdym dziele, szuka i pragnie znaleźć coś nowego, coś wybitnie różnego do rzeczy zwykłych—coś, coby, wyszło z ubitej drogi. A że, nic nowego pod słońcem, a więc w szczególach: w wymieszaniu, w wyrobieniu massy szuka i znajduje sposoby, aby uderzyć i zatrzymać uwagę czytelnika lub widza.

Otóż tak się dzieje z „Severem Torellim“. Rzeczniby prosta, wypadek historyczny, ramy więc zarysowane naprzód, ale wynalazione szczegóły; ale wprowadzona do sztuki dźwignia całej akcji są tak niezwykle, że wasz kronikarz jest w wielkim kłopotcie. Nie dlatego aby osądzić, ale aby zdać sprawę. Spróbujmy jednak w kilku słowach streścić rzecz całą, zostawując resztę domysłności samych czytelników.

Rzecz—a jak mówilem, fakt historyczny—dzieje się we Włoszech w 1494 r. w przededniu wyprawy Karola VIII Francuzkiego. Piza, gdzie się dramat odbywa, od lat dwudziestu zostaje w posiadaniu Florentczyków, z których ramienia panuje i rządzi w mieście Barnaba Spinola, jeden z tych sławnych *Condottierów*, bez czci, bez wiary i bez miłosierdzia. Żelazna ręka Spinoli, straszliwy strychulec grozy, przeprowadziła po nad dumnymi głowami patryotów pizańskich. W grobach i na wygnaniu zniknęło całe stare pokolenie, a ich miejsce zajęli synowie, wychowani w jarzmie a więc niezdolni, jak myśli Spinola, dźwignąć wydaotą spuściznę ojców. A przecież Spinola się myli; niezgasły ogień tleje w pozornym popiele; spisek, podstępny nadzieją bliższej francuzkiej pomocy, co chwila może wybuchnąć. Na



jego czele stoi młody Severo Torelli, nadzieja i chluba ojczyzny. Spiskowi, są właśnie w chwili związania się ostateczną przysięgą, a śmierć Spinoli ma być hasłem powstania.

Ale przysięga spiskowych, na miecze czy na sztylety, dla autora była to stara, zużyta rubryka. Poeta szukał nowego efektu i znalazł go tam, gdzie tylko Francuz mógł znaleźć w dzisiejszej chwili. Spiskowi spotykają księdza wracającego z Przenajświętszym Sakramentem od chorego. Zatrzymują, tłómaczą rzecz swoją. Ksiądz jest patriotą, jak oni. W Imię Ojca i Syna i oto spiskowi, na klęczkach na stopniach świątyni, przysięgają na Sakrament spełnienie morderstwa. Ksiądz im błogosławi. Zachwyceni Francuzi uważają to wprowadzenie Sakramentu na scenę teatralną, za wynalazek cudowny.

Spinola zginie, a na wykonawcę wyroku obrany jest „Severo Torelli“; syn uległy idzie to oświadczyć ojcu. Naraz, zasłyszawszy to zwierzenie się, matka sprzeciwia się temu gwałtownie, i zostawszy samnasam z synem, odkrywa mu nagle, że on jest właśnie synem Spinoli tyрана. Tu następuje piękna, ale gwałtowna scena pomiędzy matką i synem; on przecież pozostaje niezwruszony: — Przysięgłem — powiada — na Sakrament, prędzej więc ojcobójcą zostanę, niż krzywo przysięgą!

Trzeci akt i czwarty rozwijają się szybko — dzieło spiskowych ogarnia tyрана wokół. Torelli, jak drugi Hamlet, posępny, ciężkim przynębnym smutkiem wyznania matki, błądzi jak cień wśród wypadków i ludzi, którzy gwałtownie dążą do celu. Już, już, jesteśmy na progu ostatniej chwili. Morderstwo wielkorządcy ma się spełnić, niewiadomo dlaczego, w podziemiach katedralnego kościoła, dokąd nikt nie ma prawa wejścia oprócz Spinoli; ale spiskowi ułatwili wszystko i Severo Torelli, wyrwawszy sztylet z popiersiem Brutusa, idzie spełnić ofiarę.

Ostatni akt odegrzywa się w podziemnej kaplicy katedry.... Severo nagle staje wobec Spinoli, wyznaje mu, że zna tajemnicę swego urodzenia, i że chcąc uniknąć strasznej konieczności, daje mu do wyboru: ucieczkę, z warunkiem, wydania naprzód cyradelli miasta. Spinola, jako żołnierz, z dumą odrzuca zdradę. Spiskowi ukazują się w cieniu i Torelli podnosi ramię. W tej chwili zjawia się matka Severa. Zabija Spinolę i sobie życie odbiera, wobec tłoczących się spiskowych; żegnając syna, umiera z radością, gdy jej ręka zbawiła ojczyznę.

Pomimo tych dziwnych szczegółów, które, powiedzmy prawdę, więcej śmiałością swoją, uderzają w czytaniu, niż na scenie — dramat posuwa się śmiało i szybko, akcja nie słabnie ani na chwilę. Wiersze są dźwięczne i śliczne. Zwroty i wyrażenia szczęśliwe. Charaktery zarysowane są potężnie. Ale czy dzieło jest tem rzeczywistcie, za co tu je ogłoszono szumnice? Czy jest arcydziełem? jak nam powiadają.

Kronika wątpli!

## Kronika działalności kobiecej.

— W Warszawskim Muzeum Przemysł.-Rolniczem, gdzie jak wiemy, dozwołonom jest na mocy ustawy kopiowanie znajdujących się tam wzorów, pracuje obecnie w przeznaczonych sobie sali rysunkowej 79 młodych pańien, od godz. 6<sup>1/2</sup> do 8<sup>1/2</sup> wieczorem, jeden oddział w Poniedziałki, Środy i Piątki; drugi we Wtorki, Czwartki i Soboty. Zpominiętych tych rysowniczek zajmuje się: 20 malowaniem na porcelanie i drzewie; 21 retuszowaniem fotografii; 3 drzeworytnictwem; 7 rysunkami w domu; 1 grawerstwem; 10 kwaciarstwem; 2 szewcstwem; 5 krawiecczyną; 2 fotografią i t. d. Muzeum, przychodząc z pomocą tym pracownicom, po większej części niezamożnym, udziela bezpłatnie papier rysunkowy, wzory, modele gipsowe, węgielki i wskazówki; zajmującym się rysunkami

technicznymi — reisbrety, reiscejgi i t. p. potrzeby rysunkowe. Każda rysownicza życząca sobie być dopuszczoną do Muzeum, powinna złożyć w kancelaryi Muzeum odpowiednie podanie, w jakim kierunku przemysłowym pracuje, i wtedy jeżeli jest miejsce wolne, otrzymuje bilet wejścia do sal rysunkowych, gdzie bez niego nikt nie jest wpuszczanym, prócz matek młodych rysowniczek, które chcą towarzyszyć córkom. W salach rysunkowych Muzeum pracuje podobnie 103 młodzi mężczyźni.

— Rocznik Towarzystwa Osad Rolnych i Przetulów Rzemieślniczych podaje wśród ogólnej liczby 2,048 członków 158 kobiet. Z tych 81 wypada na Warszawę, 76 na resztę Królestwa. Pomiedzy 19 założycielami tej pożytecznej instytucji znajduje się kobieta tylko jedna: hr. Hortensya Małachowska; na 23 członków wieczystych 4 kobiety. Członków zaproszonych przez Towarzystwo jest 7, między niemi jedna tylko kobieta, Angielka, dziś już nie żyjąca: Marya Carpenter, której życie i szlachetna filantropijna działalność znaną jest czytelnikom pisma naszego. Właśnie w tym czasie wykonany został w Londynie posąg jej z białego marmuru, wyrobiony dłutem kobiety.

— Ogród warzywny i owocowy łączy się tak blizkoz domowem gospodarstwem kobiecym, hodowla kwiatów tak się zdaje przypadać na dział kobiecej pracy, że nietylko u nas, ale i zagranicą, zwłaszcza w Anglii, Szwajcaryi i Niemczech, zaczęto uważać ogrodnictwo za gałąź pracy, której kobieta z korzyścią oddać się może i powinna. W zakładzie przemysłowo-rzemieślniczym p. Suchowieckiej, istniejącym przez lat kilka przy ulicy Brackiej, wykładano już uczennicom naukę ogrodnictwa, a czytelnicy naszego pisma wiedzą o zamiarze otworzenia w roku bieżącym kobiecej szkoły ogrodniczej w Warszawie, urządzić się mającej zupełnie na wzór szkoły męskiej przy Ogrodzie Pomologicznym, w której, wedle zakomunikowanego nam zamiaru założycielki, nauka ma być udzielana przez tęsamą, co tam, drużynę nauczycielską. Wiadomość o tem, zamieszczona w *Kronice* naszej; zainteresowała dość znaczną liczbę osób, pań wiejskich, żądających za pośrednictwem redakcyi bliższych o szkole wiadomości, lecz oto pióro najbardziej pod tym względem u nas kompetentne, p. Ed. Jankowskiego, zamieszcza w *Ogrodniku Polskim* z 15 Stycznia r. b. sąd swój o „kobiecie jako ogrodnicze“ „Ogrodnictwo kwiatowe — pisze p. Jankowski, jest jak gdyby dla kobiet stworzone“. Pielęgnowanie kwiatów w szklarniach, rozmnażanie ich, otrzymywanie nowych odmian, a nadewszystko robienie bukietów w zastosowaniu do ubrania pochoi, oraz do stroju kobiecego: oto dział szczególnie przypadający dla kobiety, lecz ogrodnictwo w ogólnem znaczeniu tego wyrazu: warzywnictwo, utrzymywanie szkółki, zajęcie się sadem owocowym, nie jest wedle zdania p. Jankowskiego przystępnem dla kobiety, z powodu zbyt wielkich trudów i niewygód, jakie się z tem łączyć muszą. Mogą to znieść kobiety z klasy pracującej, do fizycznych trudów od dziecka przywykłe, wytrzymałe na słotę, ale nie kobiety klas wyższych, wychowane pieczołotliwie. Tamtym „robotą w ogrodzie nawet służy i wynagradza pracę czerstwem zdrowiem i szczególnie długiem życiem“. Co do kobiet klas wyższych, o których przeważnie myśleć trzeba przy zastosowaniach pracy nowego rodzaju, p. Jankowski zauważył przez kilkanaście lat doświadczenia, że rzecz mogłaby mieć miejsce wtedy tylko, „jeżeli będą lepiej pod względem fizycznym wychowane, jeżeli nauczą się wytrwałości, której im teraz brakuje, przynajmniej w ogrodzie, co potwierdzą wszyscy, którzy je na tak zwanej praktyce widzieli“. Ale te uwagi p. Jankowskiego odnoszą się tylko do kobiet, któreby chciały zostać ogrodnikami fachowymi w całym znaczeniu tego wyrazu, bo jakkolwiek zdawać się może komus, że pewne prace ciężkie, jak: kopanie dołów, pielenie, wypilowywanie gałęzi, i t. d. nie potrzebuje być koniecznym zajęciem wyższego ogrodnika, jednak musion sam wszystko to umieć, aby wiedzieć, czy rozkazy jego są wykonywane dokładnie, a w razie potrzeby pokazać nieumiejętnemu robotnikowi, jak robić należy. Jeżeli

przecież kobieta nie pragnie być ogrodniczką z professyi, a chce tylko zapoznać się z pracami ogrodniczymi o tyle: „aby się na ogrodnictwie rozumieć, aby widzieć, co i kiedy w ogrodzie można robić, lub poprawić: jak go upiększyć, lub dochód z niego podnieść“, tego rodzaju wiadomości ogrodnicze uważa p. Jankowski i dziś za „szczególnie pożądaną dla kobiet, które mają spędzić życie w wiejskim dworze“ i dodaje: — „Córki i żony nasyższych ziemian powinnyby się z tą umiejętnością bliżej obznajmić, aby ulgę w zajęciu ojcom i mężom przynieść, aby sobie i im życie uprzyjemnić, aby wreszcie osiągnąć pewne z ogrodu dochody i rozkrzewić zamilowanie do ogrodnictwa pomiędzy okolicznym ludem“. — „Osiągnięcie tego celu nie przechodzi wcale granic możliwości“ dodaje p. Jankowski i pisze, że sam widział ogrody dobrze utrzymane i odpowiedni zysk przynoszące pod kierunkiem pań, przy których pracował ogrodnik sumienny, choć nie uczony. Podając w dalszym ciągu, czego w takim razie kobieta uczyć się potrzebuje, kresli jakgdyby zarys planu dla ogrodniczej szkoły kobiet. Szkoła taka — jak zapewnia — znalazłaby ludzi chętnych do nauczania w niej, ale potrzeba na jej wzniesienie summy już znaczniejszej, za co przecież dałaby chleb całemu zastępowi kwaciarek, nauczyłyby panie wiejskie, jak się z ogrodem obchodzić należy i jeżeli wedle wskazanych warunkach mieć ją będziemy, będzie to „instytucya podnosząca ogrodnictwo krajowe i jedyna jak dotąd na świecie, której nam nawet praktyczna Ameryka pozazdrości“.

— W końcu ubiegłego roku nastąpiło w Wilnie rozdanie nagród przeznaczonych dla dobrych sług wyznania Rzymsko-Katolickiego. Nagród tych było trzy, powstałych ze złożonego wyłącznie na ten cel funduszu, a wynoszących: rs. 50, 30 i 25. Kandydatek zgłosiło się 13; pierwszą nagrodę otrzymała sędziwa już staruszka, która 43 lat pozostawała w jednej rodzinie, służąc u matki, córki, a następnie wnuczki. Drugą wzięła wierna i szlachetnie poświęcona „sługą do wszystkiego“, która służyła lat 36 bardzo mało zamożnej pani; trzecia przypadła kandydatce, która u jednych chlebobawców przesłużyła lat 26.

— Professor Sorbony, Caro, ośmieszony przez znaną i u nas komydą: *Świat nudów*, i wskutek tego nieukazujący się na katedrze przez lat dwa, znowu na nią powrócił; nie chcąc przecież służyć za cel dla żartownisiów, obrał dla wykładów swoich godziny tak wczesnego poranku, że ów modny świat kobiecy, który się tłumnie gromadził na nie, nie może obecnie brać w nich udziału, chyba przez najgorliwsze, więc już prawdziwie nauki żadne adeptki swoje. Zmieniono nawet salę wykładów, to przecież pozostało niezmiennem, że jest ona zawsze pełną, i na zaszczyt dla Francuzek znajduje się i teraz między słuchaczami poważna liczba kobiet. Dowcipnisie nic nie pomagają; kobieta francuzka uczuła potrzebę nauki i seryo uczyć się zaczyna. Przedmiot tegorocznego wykładu dr. Caro, jest: „Les théories modernes sur la nature“.

— Królowa włoska, Małgorzata studjuje bardzo gorliwie ekonomią polityczną, jako naukę, którą kobieta na jej stanowisku znać powinna, aby jej działanie dobroczynne, miało tę rozumną i najlepszą miłosierdzia ludzkiego podstawę: nie dopuszczanie do nędzy przez dobrze kierowany ruch pracy. Nauczycielem królowej jest były pierwszy minister, Minghetti.

— Nauka kobiet we Włoszech zdobywa sobie coraz wyższe stanowisko. Siedm młodych pańien, które w rządowych progimnazjach dla dziewcząt zaznaczyły się jako najlepsze uczennice, otrzymały przystęp do męskiego Lyceum Visconti. Minister oświecenia Baccelli dał tej nowości inicjatywę i zarazem urządził rzecz tak, że uczennice te mają w rozmaitych klassach lyceum osobne i zupełnie od reszty uczni oddzielone ławki.

— Dzienniki włoskie z Turynu donoszą, że zamieszkała tam pani, signora Marianna Pugno Musso, udała się w tych czasach do Pawii, przedstawiając się do egzaminu na urząd w sekretaryacie handlowym, który też otrzymała, ponieważ egzamin jej wypadł świetnie nad wszystkie inne licznych kandydatów męskich. Jest to pierwsza



Włoszka na niurzędowej posadzie nie w zakresie wychowania.

— Mimo niepowodzenia, jakie spotkało Lidę Poët, młoda panna z Genui przygotowuje się do studyj prawnych, które chce słuchać w uniwersytecie, czy Turyńskim, czy Rzymskim.

— W ostatnich dniach Grudnia ubiegłego roku Lina Morgenstern zaproszona przez Niemieckie Towarzystwo przeciw fałszowaniu przedmiotów spożywczych, przybyła z Berlina do Chemnitz, i miała odczyt: „O pożywieniu“. Siedm stowarzyszonych kobiet niemieckich miało na odczycie reprezentantów i korespondentów swoich. Wspomniami przy sposobności, że wedle doniesienia „Dziennika Łódzkiego“, tamtejsza stacya doświadczalna, rozebrawszy w przeciągu osmnastu miesięcy 558 okazów spożywczych, znalazła między niemi 237 fałszowanych. Czy nam nie potrzeba nietylko więcej stacyi doświadczalnych, ale i takich kobiet, jak Lina Morgenstern?...

## DROBNE LISTKI.

**Myśl pomnika dla Sarbiewskiego** któryby stanął w rodzinnej wsi jego Sarbiewie w pow. Płońskim, podana przez *Kur. Warsz.* znalazła między obywatelami stron tamtejszych życzliwe przyjęcie. Idzie tylko o to, aby utworzył się w Warszawie komitet, któryby zajął się wypracowaniem projektu, a rzecz niewątpliwie zyskałaby poparcie nietylko w tamtej okolicy, ale w całym kraju. Potrzeba tylko, aby wzniesienie pomnika niezbyt wielkie koszta pociągało za sobą.—Pragniemy głównie zachować w kraju pamięć znakomitego poety i kaznodziei—piszą nam z Płońskiego.

**Wybory na znakomitość pisarską** odbyły się obecnie w Anglii. Przegląd angielski „Nineteenth Century“ wezwał publiczność, aby drogą nadsyłanych dziennikom głosów, wybrała z pomiędzy żyjących pisarzy dziesięciu, których uważa za najznakomitszych. Liczba głosujących nie dosięgła 600. Tennyson, uwieńczony poeta, miał najwięcej, bo, 501 głosów. Ruskin, znakomity krytyk sztuki, 462; Swinburne szesnaście; Herbert Spencer osmnaście, Gladstone trzynaście. Z pomiędzy powieściopisarzy dwóch tylko wyszczególniły te wybory: William Black i Shorthouse, otrzymali każdy po 50 głosów.

**Sto dukatów za najpiękniejszą kobietą główkę!** oto konkurs, jaki wiedeńskie pismo „Neue Illustrirte Zeitung“ ogłosiło w pierwszym numerze swoim z tego roku, zwracając się do malarzy i rysowników najpierw Austriackich, a następnie Niemieckich, aby w rysunku, nadającym się do xylograficznej reprodukcji, przysłali po dzień 31 Marca bieżącego roku prace swoje pod adresem redakcyi: (Wiedeń VI, Gumpendorferstrassn Nr. 56). Pierwsza nagroda jest 100, drugo 50, trzecia 25 dukatów, przyczem redakcyja zastrzeżę sobie nabycie i nienagrodzonych rysunków drogą prywatnej umowy. Komitet sądzący składa się z malarzy: Makarta, Henryka Angeli, Juliusza Bergee, Hansa Canon, Hermana Paar, Wiktora Tilgner, Williama Unger, wreszcie redaktorów „Neue Illustrirte Zeitung“: Maxa Kandy i Balduina Groller.

**Edward Pailleron**, komedyopisarz i razem poeta francuzki, wszedł d. 17 bieżącego miesiąca do Akademii Francuzkiej na miejsce Karola Blanc. Pomimo, że satyryk to pełen gryzącej ironii, jak dowodzi tego „*Świat nudów, Pasożyci, Miłości i nie-nawiaści*“, umie on tworzyć w komedjach swoich typy szlachetne i poetyczne, szczególnie typy kobiet kochających, jak naprzykład Zuzanny

w *Świecie Nudów* i księżny de Réville w *Niewdzięcznym wieku*. Jednym z tytułów jego do godności akademickiej, jest piękna, pełna patriotycznego zapалу poezya liryczna: „*Prière pour la France*“. Juliusz Claretie tak przedstawia jego powierzchowność: „Postać rysująca się śmiało spojrzenie otwarte, broda jasna, otaczająca usta dowcipne, świeże i miłe; włosy wijące się nad pieknem, wyniosłem czołem, o liniach regularnych; coś szlachetnego, coś dzielnego w całym obliczu i postawie. Takim też widział go malarz Sargent, gdy odtworzył głowę jego w portrecie, przypominającym postacie Van Dycka“.

**Ciekawa wystawa** w paryzkim Ogrodzie Botanicznym może razem bawić i uczyć Francuzów. Alfons Milne Edwards, członek Francuzkiego Instytutu, powróciwszy z naukowej wyprawy do zachodnich wybrzeży Afryki, na rządowym okręcie *Talisman*, danym mu w tym celu przez ministerium marynarki na żądanie ministra oświecenia, wystawił na widok publiczny zbiory, przywiezione ze sobą: zwierząt i roślin podwodnych. Milne Edwards otrzymał od rządu wraz z okrętem wszystkie przyrządy do sondowania głębokości morskich i zapuszczano się też na 6,000 metrów pod wodę. Prace te trwały kilka miesięcy i zebrano niezmiernie ciekawe okazy fauny i flory podmorskiej, międzyktóreimi znajdują się zupełnie dotąd nieznanne rośliny i istoty ze swiata zwierzęcego. W miarę zdobywania tych skarbow dla nauki, zajmowano się zaraz konserwacją ich; wszystkie okazy zwierzęce umieszczono w słojach nalanych spirytusem. Jest to zbiór niezrównanie bogaty, obejmujący kilka tysięcy typów niezmiernie ciekawych.

**Stany Zjednoczone** zebrały drogą podpisów narodowych 12,000 dolarów, czyli 60,000 franków na wzniesienie podstawy, która umieszczona u wejścia do portu New-Yorckiego służyć będzie za piedestał dla olbrzymiego posągu „Wolności, która świat oświeca“. Koszta posągu, który rzeźbiarz Bartholdi wykończył właśnie w Paryżu, ponosi państwo. Ale naród powinien był tu dać coś od siebie i złożył się na podwalinę rzeczy. Posąg przedstawia rzeczywistość Amerykę, przedstawiającą postępek cywilizacji przez wolność — kobietę z pochodnią w ręku.

**Malarz Meissonier** wystawi w d. 15 Kwietnia na widok publiczny zbiór najcenniejszych swoich utworów, które na żądanie ich twórcy przybywając ze wszystkich krajów Europy, a nawet z Ameryki. Królowa angielska nadesła na tę wystawę, mającą trwać dwa miesiące, posiadany przez nią, a zaliczany do najznakomitszych dzieł mistrza ogromny obraz: „*La Rixe*“. Obok wystawy obrazów, będą umieszczone dwie, w wosku modelowane statuetki Meissoniera: Poliszynel i Muszkieter. Płóciem będzie 550; obecnie Meissonier maluje obraz trzy metry wysoki, a przedstawiający Bayarda, obejmującego uściskiem Franciszka I-o. W koło dwóch figur głównych tłum rycerzy francuzkich.

**Podróż astronomiczna po różnych planetach** naszego słonecznego systematu, nosząca oryginalną nazwę: „*Terres du Ciel*“, a będąca dziełem znanego francuzkiego pisarza, Kamilla Flammarion, wyszła w drugim wydaniu. Jest to bardzo interesujący zbiór hipotez astronomicznych, o życiu na tych odległych swiatach, które błyszczą ponad głowami naszymi i czyta się też tak zupełnie jak romans. Naprzykład oświecenie Merkurego dało stworzyć uczonej fantazyi Flammarion'a obraz taki: „Efekta światła muszą być w atmosferze tamtej cudowne i nieporównanie potężniejsze od tego, co my tu widzieć możemy. Najwspanialsze nasze wschody i zachody słońca są blade w porównaniu z tem, jak się przedstawiają one na Merkurym. Symfonia jutrzeńki wybucha tam jak olśniewająca fanfara blasków, i wątpić nie można, że gra optyki powietrznej, która zachwyca nam wzrok w naszej tęczy, w na-

szych kołach świetlnych, w naszych mirażach, powtarzają się i tam, bo prawa fizyczne są w całym świecie niezienne, ale spotęgowane tak, że widok ich wprawiłby nas w zachwyt nieopisany. Nie wyjdzie poza granice prawdopodobieństwa, kto przedstawiając krajobraz Merkurego po deszczu, widzieć będzie na błękitie eterów nie jedną jak u nas tęczę, ale dwie, trzy i więcej nawet, wznoszące się jedna ponad drugą wskutek nateżenia światła słonecznego“. Cała książka wprowadza tak wyobraźnię naszą w świat czarodziejskich obrazów, którym przecież za podstawę służy nauka.

**Okrutna tragedia** rozegrała się świeżo w Algierze przed sądem wojennym, zebrany w Konstantynie dla osądzenia; czy kapitan de Rieux winnym jest zbrodni zabójstwa, za zabicie w pojedynku adwokata Arsenneaux, który go wyzwał i co więcej zmusił niemal gwałtem do pojedynku. Arsenneaux miał młodą i piękną żonę, o którą był zazdrosny i posądżając kapitana de Rieux, że chce mu wydrzeć jej miłość, wyzwał go na pistolety o dwadzieścia pięć kroków. Był to pojedynek na śmierć i de Rieux, strzelec bardzo celny, odmówił, ale Arsenneaux ścigał go, spotwarzał, że jest tchórzem, aż przyprowadzony do ostateczności, przyjął pojedynek i — zabił nieszczęśliwego.

Sąd wojenny zgromadził się, aby wydrzeć ofiarę losu z rąk sprawiedliwości cywilnej, która byłaby niechybnie wymierzyła karę śmierci, jak za zabójstwo zwyczajne. Uwolniono kapitana od kary, ale nikt nie uwolni go od wyrzutów sumienia, bo był kiedyś przyjacielem i kolegą szkolnym zabitego, przytem pozostała wdowa, kobieta dwudziestokilko-letnia, jest blizką pomieszczenia, grzeszyła tylko próżnością i kokieterią, a de Rieux lekkomyślnością. Mąż, pozornie bardzo łagodny, namiętny był jednak i zacięty.

**Tanie zbiorowe wydanie**

**POWIEŚCI**

**J. I. KRASZEWSKIEGO**

**Z wydania tego wyszedł tom 21**

(pierwszy na 1884 r.) i zawiera w sobie;

**BRACIA RYWALE**

**Obrazy społeczeństwa wiejskiego z XVIII wieku.**

Prenumerata wynosi w Warszawie: miesięcznie kop. 50; kwartalnie Rs. 1 kop. 50. Z przesyłką pocztą: kwartalnie Rs. 1 kop. 75.

**W ciągu każdego kwartału wychodzi tomów 5.**

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi, tomu II-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia.**

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Obowiązki kobiety nieoświeconej, względem kobiety nieoświeconej, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 18 Января 1884 года.